

Wpisowe do Towarz. (jednorazowe) 4 korony.

Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca".

WIKTOR STEPHAN

SARNA

(Cervus capreolus).

(Praca nagrodzona na konkursie Warszawskiego oddziału Towarzystwa prawidłowego myśliwstwa, wydana w broszurce nakładem „Łowca polskiego").

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ IV.

Polowanie.

Terminy polowania.— Polowanie na wychodnego. — Polowanie na wabia. — Polowania z podjazdu i na podchodnego. — Polowanie z nagonką. — Przechowywanie ubitej zwierzyny. — Przygotowanie rożków.

Przyrodzone właściwości sarny, jak niemniej sposób jej życia, wytworzył następujące metody polowania:

1) Na wychodnego.
2) Na wabia.
3) Na podjazd, względnie na podchód.
4) Z nagonką.

O polowaniu z psami wcale nie wspominam, gdyż sposób ten używany jest tylko w górach, a jako zwierzynę bardzo niepokojący, zupełnie nie do zalecenia.

W przeciwstawieniu do polowania z psami, najmniej niepokoi zwierzynę polowanie na wychodnego. U nas jednak sposób ten bardzo mało jest używany, więc wspomnę tylko, że polując na wychodnego, znać potrzeba żerowiska i ścieżki, któremi zwierzyna prawie punktualnie na żer wychodzi. Dobrze jest także pamiętać, że silny rogacz zwyczajnie ostatni na żer wychodzi.

Na stanowisku musi być myśliwy rano, godzinę przed wschodem, wieczorem — godzinę przed zachodem słońca. Przy wyborze stanowiska kierunek wiatru musi być uwzględniony.

Polowanie na wabia znane było już w dawnych wiekach, u nas jednak również bardzo mało jest rozpowszechnione, a polega na naśladowaniu głosu, wydawanego przez sarnę w czasie rui, który rogacza przywabia.

Piszczący głos kozy da się bardzo dobrze naśladować. na cienkiej, łuszczącej się, białej korze z brzozy, lub na liściu z gruszy; aby jednak właściwy ton uchwycić, potrzeba pewnej wprawy. Obecnie są w handlu maszynki metalowe, któremi doskonale głos sarny się naśladuje. Chodzi więc tylko o to, jak wabić. Tego nauczyć się można, obserwując sarny przy zadawanej paszy u jarzma, gdzie młodsze, niedopuszczone do żeru, krążą wokoło i piszczą.

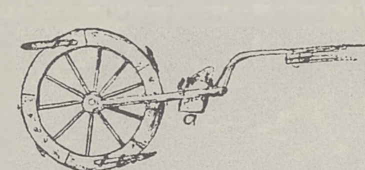
Wabić należy o ile możności jak najkrócej, a powtarzać wabienie nie częściej, jak 6 do 10-iu razy w odstępach co 10 sekund.

Wabić można tylko w czasie rui, gdyż w innej porze rogacz wcale na wabia nie idzie, a raz zrażony, już drugi raz, zwłaszcza stary, zwabić się nie da.

W czas mokry i słotny szkoda wszelkiej fatygi, gdyż rogacz na wabia się nie skusi.

Gdzie liczba rogaczy w stosunku do kóz przeważa, samo wabienie będzie skuteczniejsze.

Najodpowiedniejszą porą do wabienia jest wczesny ranek lub czas między 11-tą a 3-ią godziną popołudniu. Najłatwiej wabią się rogacze młode. Ze względu na bystry wzrok sarny, dalej ze względu na nadzwyczajnie dobry słuch i węch, zachować się potrzeba na stanowisku zupełnie spokojnie, zwłaszcza, że często na głos wabia podchodzi lis, któremu przy tej sposobności darować nie można.



Koło tropowe, a) puszka na świeże trzewia sarny, o które dla witerunku przy obrocie koła, ocierają się cewki.

Podjazdy — jako najodpowiedniejsza metoda polowania na sarny — są u nas najwięcej rozpowszechnione. Samo przez się rozumie się, że podjazdy tylko tam wykonywane być mogą, gdzie ku temu sprzyja teren, gdzie są drogi i linje. Nikt nie będzie rogacza podjeżdżał w górach lub w okolicy bagnistej. Tam myśliwy zmuszony jest podchodzić pieszo, co jednak więcej wymaga uwagi i wysiłku, a skutek zabiegów mniejszy. Sarny bowiem na podjeżdżający zwykły wóz wcale uwagi nie zwracają i na odległość strzału dadzą się podjechać. Pieszy myśliwy musi mieć zatem więcej wytrwałości i pewien zasób sprytu myśliwskiego, aby ze skutkiem polować.

Tak do jednego, jak i do drugiego sposobu polowania, potrzebny jest dobry wzrok; aby zaś na próżno nie podjeżdżać, ani nie podchodzić i już z daleka rodzaj zauważonej sztuki oznaczyć, niezbędnym pomocniczym instrumentem jest dobra lornetka.

W jaki sposób i na jakie okoliczności zwrócić ma myśliwy uwagę przy powyższej metodzie, opisywać nie będę, gdyż myśliwy jest z tem dobrze obznajomiony. Nadmienię tylko, że podjazd udaje się najlepiej przez dwie do trzech godzin z brzaskiem dnia i dwie do trzech godzin przed zachodem słońca.

Dnie słotne i wietrzne polowaniu temu nie sprzyjają. Po deszczu jednak, mianowicie wieczorem, jest czas bardzo odpowiedni Do podjazdów używać, ile możności, koni o ciemnej maści, a nie jasnych lub siwych — z przyczyn łatwo zrozumiałych. Chociaż z drugiej strony powiem, że ze względu na skutek podjeżdżania, nie jest to warunek konieczny, — przyzna jednak każdy myśliwy, że siwy koń wogóle, używany do czynności w lesie, jakoś dziwnie wygląda!

Poniżej daję stosunek, w jakim stoi do siebie prawdopodobieństwo upolowania rogacza na podjazdach, według dat średnich, wziętych z różnych miejscowości.

Przewidując równe warunki, upolować można:

w mąju	6,7	czyli	7	sztuk
w czerwcu	9,8	„	10	„
w lipcu	10,3	„	11	„
w sierpniu	8,9	„	9	„
we wrześniu	2,5	„	3	„
w październiku	2,3	„	2	„
w listopadzie	1,3	„	1	„
w grudniu	0,1	„	—	„

Dla uzupełnienia powyższych cyfr, zaznaczam, że najlepszego skutku polowania spodziewać się można między 15 maja a 20 czerwca i między 25 lipca a 15 sierpnia. Czas pomiędzy i za owemi okresami nie opłaci fatygi.

Ponieważ myśliwy nie strzela śrótem na dalszą odległość jak 50 kroków, więc naturalnie na podjazdach strzela się wyłącznie kulami. Potrzebna jest zatem wiadomość, jak zachowuje się sztuka po strzale. Byłbym o tem wcale nie wspominał, gdyby nie okoliczność, która mi się niedawno przydarzyła. Słyszałem mianowicie zdania starszych osób, mających ze zwierzyną i polowaniem ciągłą styczność, że rogacz musiał być trafiony, bo zabeczał i już, już miał się przewrócić, ale wpadł w krzaki i przepadł!

Otóż nie rozpisując się, podam krótko główne oznaki, po których poznać można, że nietylko sztuka została trafiona, ale nawet w przybliżeniu oznaczyć — gdzie. Przy strzale jednak, dla łatwiejszego, następnego oryentowania się, uwzględnić potrzeba pozycyę rogacza. Mianowicie wyczekać chwili, kiedy rogacz stanie „płotem“, czyli bokiem do myśliwego, następnie, kiedy głowę ma podniesioną do góry, a to dlatego, że gdy się pasie i następnie wyprostuje, to skóra zasunie ranę i farby nie puści.

Myśliwemu powinno zależeć na tem, aby zwierzyna jaknajmniej cierpiała, zatem obowiązkiem jego jest strzelać i trafiać w miejsca, któreby najmniej przynosiły cierpień a najprędszą śmierć. Miejscem tem jest komora, a kula przechodzić powinna przez serce lub płuca.

Jeżeli rogacz po strzale zwraca się i nie uchodzi w kierunku, w którym stał, ale w stronę przeciwną lub w dodatku straszy, lub umyka razem z innemi sarnami, to są pewne objawy, że został chybiony.

Uchylenie się, skok w prawo i lewo, czyli zygzak, również są oznakami chybionego strzału. (C. d. n.)



Atrakcje I. międzynarodowej wystawy łowieckiej w Wiedniu.

Dwa tygodnie już dzielą nas tylko od chwili, gdy w dniu 2. maja o godz. 11 przed południem, nastąpi uroczyste otwarcie I. międzynarodowej wystawy łowieckiej w Wiedniu, pomieszczonej w Praterze. Będzie to niewątpliwie wystawa, tem różna od innych, że punktualnie na czas wszystko zostanie skończone. Luk już nie będzie — i wystawa stanie przed naszemi oczami w całokształcie swoim, obejmującym potężny i fascynujący obraz łowiectwa i spokrewnionych z niem sztuk i technik.

I rzeczywiście: Wystawa jest już dziś niemal ukończona, z wyjątkiem pawilonów państwowych Włoch, Anglii i Stanów Zjednoczonych, które ledwo w ostatniej niemal godzinie zgłosiły swój udział. Ostatnie, jak wiadomo, cofnęły się ostatecznie od niego; senat Stanów Zjednoczonych odmówił, jak wiadomo, kredytu 50.000 dolarów na pawilon amerykański. Równolegle z zewnętrznem ozdabianiem budynków idzie w raźnem tempie i wewnętrzne ich wyekwipowanie. Ustawianie przedmiotów wystawowych jest już również w toku. Czas więc raz jeszcze i szczegółowo przypatrzeć się wszystkiemu. Zwróćmy wszakże tutaj uwagę na główne atrakcye wystawy i na jej miejsca zabawowe i rozrywkowe. Tych ostatnich będzie ona miała — mimo swego specjalnego charakteru — wielkie i różnorodne bogactwo.

Biegunem niemal całej ekspozycji, wokół którego ona się ogniskuje, jest — jak już wspomnieliśmy — Rotunda. Tym razem nie dostarczy ona w swych olbrzymich przestrzeniach żadnych rozkoszy ni fizycznych, ni intellektualnych. Poza paru kioskami ze smakołykami, nie przerwie tu powagi wystawowej żadna kawiarnia, żadna restauracya. Tylko gwar zwiedzających wzbije się pod wysoki strop.

Wyszedłszy przez zachodni portal Rotundy, widzimy opisany już w Nrze 6. „Łowca" pawilon, zajmujący około 1900 m. kwadr., a tworzący ogromnie miłe zakończenie parku wystawowego. Jest to jeden z najpiękniejszych budynków wystawowych, tak co do stylu, jak i co do wykonania. Pomieściły tu się ze swemi wystawami: ministerstwo robót publicznych, handlu i rolnictwa, dalej stolica państwa i rezydencja cesarska — Wiedeń. Pawilon ten pomieści pozatem niemal wyłącznie urządzenia dla ruchu obcych, a więc biuro podróży, kantor wymiany, miejsce zakupna biletów do wszystkich teatrów i miejsc rozrywkowych Wiednia, salon do pisania i czytania, urzędy: pocztowy, telegraficzny i telefoniczny, miejsce wywiadowcze co do mieszkań prywatnych i hoteli i t. p. Dla przyjezdnych więc będzie to punkt prawie najważniejszy na wystawie i dlatego zwracamy nań uwagę. Nadto urządzono z lewej i prawej strony tego pawilonu otwarte hale, z których będzie można obserwować cały ruch wystawowy.

A właśnie przez środkowe wejście tego budynku wstępuje się prosto na główną, t. zw. „świąteczną ulicę" wystawy, aleję, długą na 200, a szeroką na 50 metrów! Sięga ona aż po wspomniany już w poprzedniej korespondencyi staw. Z obu stron tej ulicy ciągną się piękne klomby kwiatowe, oddzielone od budynków wystawowych placykami, na 7 metrów szerokimi. Pierwszy wpada tu w oko pawilon angielski, w którego pobliżu zbudowano ogromny teatr kinematograficzny.

To jest pierwsza atrakcya wystawowa. Budynek przeznaczony jest dla 900 osób, które zobaczą tu tak aktualną i na miejscu rzecz, jak polowania wszystkich głów ukoronowanych. Operatorzy, t. j. fotografowie do kinematografu, nie darowali prawie żadnemu panującemu. Każdego z władców widzimy tu, wśród drużyny myśliwskiej, na tle jakiej wysoce interesującej sceny z łowów. Spostrzegamy tu więc sędziwego cesarza Franciszka Józefa, jak opuszcza swoją rezydencyę letnią w Ischlu, ażeby w rewirze Steinkogel zapolować na kozice i jelenie. Druga serya obrazów przedstawia cesarza Wilhelma II. podczas polowania na lisy w Donaueschingen. I oto znów trzeszczy film kinematograficzny: przed naszemi oczyma przesuwa się obraz z łowów króla Edwarda w Sandringham, to znów widzimy młodocianego króla Portugalii, Manuela, obok prezydenta Falliéres, na polowaniu na bażanty w Rambouillet. Podziwiamy wreszcie polowania księżny d'Uzés, króla Hakona w Holmenkollen i t. d.

Naprzeciw kinematografu wznosi się pawilon łowów egzotycznych, jedna z najbardziej interesujących atrakcyj dla myśliwych. Tu wystawiony zostanie cały cykl dioram, przedstawiających w sposób wyczerpujący egzotyczne polowania na białe niedźwiedzie, słonie, tygrysy i lwy — wszystko to będzie można widzieć prawie w naturalnej wielkości.

Ciekawie zużytkowano drugi front pawilonu dolnoaustryjackiego: oto przez odpowiednie adaptacye zamieniono go na typową, dolno-austryjacką winiarnię, gdzie dostać będzie można wszystkich win z piwnic Niższej Austrji.

Wypoczynek i względnie większa niż gdzieindziej cisza czeka zwiedzających przy stawie wystawowym, mierzącym 5500 m. kw. powierzchni, a więc długim i szerokim więcej niż po 70 m. Znajdują się na nim dwie wysepki, na których zbudowano pawilon muzyczny, cukiernię i kawiarnię. Zakłady te są połączone z brzegiem trzema mostami, biegnącymi w śmiałych łukach ponad wodą.

Tuż nad stawem wyłania się naprawdę czarodziejsko doskonała imitacya cesarskiego zameczku myśliwskiego w Mürzsteg. Dodam tu jeszcze, że cesarz zezwolił na przewiezienie z Mürzsteg swego umeblowania, którego całą prostotę będziemy mogli podziwiać. Podział zameczku jest następujący: w suterenie wielka sala jadalna, do której przytyka salon; na I. piętrze stałe pokoje gości cesarskich, a to szwagrów: arcyksięcia Franciszka Salwatora i księcia Leopolda bawarskiego, za któremi znajduje się pokój cesarza, a to równocześnie salon, pracownia i sypialnia. Całe niemal urządzenie zameczku składa się z podarunków od bliskich cesarzowi osób; niezawsze każda rzecz, tu i ówdzie leżąca, odpowiada celowi swego miejsca. Każda jednak jest pamiątką, na którą monarcha miłem okiem spogląda.

Idąc dalej brzegiem stawu, dochodzimy do „Restauracyi m. Wiednia", zbudowanej wielkim sumptem przez gminę wiedeńską. Przedstawia się ona jako ozdobny zameczek w powracającym dziś znów w tryumfie stylu Biedermeier. W okół lokalu biegnie terasa, na której pomieścić się może do 6000 osób. Szczęśliwi ci, którzy tu zasiędą majowym wieczorem i patrzeć będą na staw i na całą „Feststrasse". Wewnętrzne urządzenie restauracyi będzie też odpowiadało jego szacie wierzchniej; użytą zostanie na to duża część zawartości historycznego muzeum m. Wiednia. Prowadzić będą zakład znani w sferach kulinarnych bracia Kraft.

W norwegskim pawilonie zostanie urządzony szwedzki pokój do śniadań, gdzie gość wystawowy będzie mógł się pokrzepić oryginalnem szwedzkiem „smörgos", ową mie-

szaniną ryb, wędzonego mięsiwa i t. p. Wieczorem znów podawać tu będą „smarbrot“ i „oliwę“ (t. j. czarne piwo).

Ostatnie pawilony przy „Feststrasse“ — to włoski i francuski z „Restauracyą francuską“, którą objąć ma pewien pierwszorzędny restaurator paryski. Zaprowadzi on też ceny odpowiednio paryskie. Będzie to więc lokal dla „wyższych dziesięciu tysięcy“, którzy są w stanie głęboko sięgnąć do swego portfelu.

Równolegle do „Feststrasse“ biegnie wspomniana już w poprzedniej korespondencyi „aleja spożywcza“ (Ernährungsavenue), gdzie gromadzą się tańsze restauracye. Odpowiednio rozmieszczone, stoją tu przy sobie: Pawilon „kiełbaskowy“ gminy wiedeńskiej, „csarda“ węgierska, winiarnia gumpoldskirchnerska na wzór tej przy starym ratuszu, postawiona kosztem gumpoldskirchnerskich winnic, dalej winiarnia węgierska, tyrolska, bufet automatyczny, pawilon z cukierkami i nugatami, holenderska piekarnia andrutów, jeden „American Bar“ i — last not least — pawilon szampański firmy Stone & Blyth.

Mleczarnia wiedeńska będzie sprzedawała swe produkty we własnym lokalu.

Wszystkie te pawilony otwarte będą do godz. 11-tej w nocy. Gdy zabrzmi zaś sygnał do zamknięcia wystawy, zapadnie krata druciana, oddzielająca teren wystawowy, tj. wspomnianą „Feststrasse“ od parku Luna i — właściwe życie nocne może się zacząć.

Wspomniany park Luna zajmuje część Prateru między ul. Lagerhaus i ludowym terenem zabawowym, t. zw. „Wurstelpraterem“. Nowa nazwa zajętego przez park Luna obszaru Prateru urobiła się od anglo-amerykańskiego Towarzystwa Luna, które wyposażyło już w instytucye zabawowe Londyn, Paryż, Nowy Jork i inne wielkie miasta Nowego świata. W parku Luna skoncentrują się i w Wiedniu wszystkie zabawowe atrakcye wystawy; będzie on otwarty dzień cały i noc, co ze względu na zamykanie terenu wystawowego o godz. 11 wieczór ściągnie do parku Luna na noc całą publiczność.

Towarzystwo „Luna“ zamierzało pierwotnie urządzić 28 rozmaitych lokali zabawowych, ze względu jednak na niezabijanie konkurencyą licznych bud zabawowych Prateru, wystawiło tylko 14 budynków rozrywkowych, urządzonych z iście amerykańską pomysłowością. Zobaczymy więc wielkie *Variété*, zbudowane w pięknym, barokowym stylu, z niezmiernym zbytkiem. Pomieści ono 1000 osób. Scena ma 10 metrów szerokości, a 6 głębokości. Po przedstawieniu zostaną fotele przesunięte do połowy widowni, przez co uzyska się sporą wolną przestrzeń, gdzie będą się produkowały, jak w paryskiem Moulin Rouge, rozmaite egzotyczne tancerki.

Z *Variété* prowadzą trzy wyjścia do krytej dachem restauracyi, urządzonej również na 1000 osób. Usługiwać tu będzie person l, ubrany w fantastyczne stroje. Kierownictwo lokalu będzie spoczywało w wytrawnych rękach.

Na pięćset kroków od *Variété* stanie „Wieś alpejska“, w której pomieszczona będzie tańsza restauracya. Dalej urządza Tow. „Luna“ malowniczą, pełną wzniesień i zjazdów w dół kolej, dalej spiralnie poprowadzoną kolejkę z fotelami, na których będzie się zjeżdżało ze znacznej wysokości na wodę stawu, wreszcie wspaniały „pawilon morski“, gdzie będzie można zobaczyć oryginalną bitwę morską. To główne atrakcye parku Luna. Za wszystko to trzeba będzie osobno płacić. Wstęp na samą wystawę łowiecką będzie kosztował 60 hal. Ubawić się więc będzie można znakomicie! *Al. Ant. Wolski.*

„Łowiec Polski“

Łowiectwo w Polsce.

Podług szeregu artykułów, zamieszczonych w „Gospodarstwie łowieckiem“ Mikołaja Reumanna, urzędnika do szczególnych poruczeń przy komisji rządowej przychodów i skarbu (1845 r.), z uzupełnieniami według innych źródeł historycznych.

Łowiectwo do XIV. wieku.

Wyżej już wykazaliśmy, że polowanie, z wyuczonymi do łowów sokołami i innem ptactwem, było już znane w kraju naszym w wieku XII-tym, a królowie i książęta trzymali oddzielnych urzędników do tego rodzaju polowań. W owych jednak czasach było to więcej polowanie królewskie, przez prywatnych mało używane, bo kraj jeszcze był zbyt lesisty, a przez to mniej dogodny do tego rodzaju polowania. W miarę jednak, jak się lasy zmniejszały, a orne grunta powiększały, polowanie na grubego zwierza stało się wyłączną własnością magnatów; wówczas upowszechniły się łowy z ptactwem u niższej szlachty, i umiejętność ta doszła u nas do najwyższego stopnia doskonałości.

Do łowienia ptactwa dzikiego różnych używano sposobów. Szukano stadka kuropatw, lub pardw za pomocą wyżła, i następnie puszczano na nie wyuczonego sokoła, albo też przykrywano je nastawionemi sieciami; przytem łapano na wabia w nastawione sidła i na różne lepy. Każda okolica miała osobne i wyłącznie tylko tam używane sposoby łapania dzikiego ptactwa. I tak: na Wołyniu i Podolu głównie polowano na cietrzewie i przepiórki; w Polsce na pardwy, kuropatwy i głuszce; Prusacy i Litwini łowili sokoły i rarogi białe; Żuławscy Kaszubowie najzręczniejsi byli w łowieniu ptactwa wodnego; na Podgórzu zaś i pod samemi Tatrami łowiono orły, a następnie wprawiano je do polowania na zające. Z tych wszystkich jednak sposobów, jedno polowanie z wyuczonymi orłami lub sokołami było najświetniejsze, i zwykle z wielką odprawiane okazałością.

„Ledwie zorza zabłysła“, mówi żyjący za Zygmunta Augusta Rej, „pan, otoczony wielkim pocztem myśliwych, wyjeżdżał z gmachów swoich. Kłusowały koło niego konie, trąbili strzelcy, a wypadłszy na pole, tratowali biednych kmiotków niwy. Pan niósł na ręku dziwnie przystrojone łowieckie ptactwo: już to białozory ze złotymi dzwonkami, ubrane w kaptury, perłami wysadzane, już lotnego sokoła, rzadkiego raroga, lub krogulca. Drużyna pańska niosła zakryte jąstrzębie, t. zw. drzemliki. ażeby wprzód nie ujrzały światła dziennego, dopóki ich na połów nie wypuszczą“. Opis powyższy dostatecznie udowadnia, że Polacy, tak z wyższych, jak i z niższych stanów, namiętnie lubili ten rodzaj polowania, bo tyle istotnie ma ono powabów, że i teraz jeszcze zwolennicy onegoż utrzymują, że pierwsze w łowach zajmują miejsce.

Polowanie z sokołami zawsze też uważano za zabawę rycerską, a mieć najcelniejszego w swoim rodzie ptaka, jakim jest sokół, za nieodzielnego towarzysza przy sobie, oznaczało w owych wiekach wyższe urodzenie i rycerskiego myśliwca. „Prawo posiadania sokoła“, mówi Czacki, „tak oznaczało szlachcica, jak noszenie szabli, lub szpady. Najchętniej polowano z sokołami ua żórawie i czaple, zapewne dlatego, że ptaki te, broniąc się nadstawionymi dziobami, z trudnością dały się ułowić i tylko śmiałemu, oraz zręcznemu sokołowi się poddawały. Na podobnych wyprawach najlepsza była sposobność powzięcia dokładnego

przekonania o zaletach ptaka; bo dla prędkiego pokonania czapli wszystkie główne zalety sokół posiadać musiał, jakie już wyżej wyliczyliśmy, mianowicie zaś szybkość w obrotach; a im zręczniej wszystkie wspomniane przymioty w pokonaniu przeciwnika rozwijał, za tem świetniejsze też uważane było jego zwycięstwo. W walce sokoła z czaplą wielkie upatrywano podobieństwo do dwóch rycerzy, potykających się w szrankach, z których jeden z siły, drugi ze zręczności słynął. Z prędkością błyskawicy rzucał się puszczony śmiałek na powolnego i w swoją siłę ufnego przeciwnika; rączo na niego nacierał, w przekonaniu, że go śmiałością swą zmiesza i strwoży, i już wyciągał ostre szpony do śmiertelnych uścisków, kiedy przeciwnik, baczny na jego obrót, poważnie i jakby żartując z tych usiłowań, zarzucał swój spiczasty dziób, którym groził napastnikowi przebiciem, gdyby się ośmielił zbyt blizko na niego natrzeć, czyli jednym obrotem niszczył on całą zapalczywość nieprzyjaciela, i zniewalał go do trzymania się w należnem oddaleniu; podobny do owego rycerza, któremu jeden silny, przez przeciwnika zadany raz, wytrącił kopię, i zmusił go do krótkiej przerwy w walce. Tak na chwilę odstraszony sokół wzbijał się w obłoki, krążył i różny robił obroty celem podejścia swego przeciwnika, a im szlachetniejszy jego ród, im potężniejszy był w nauce, tem zręczniej korzystać powinien z każdej sposobności, celem podejścia i zwalczenia wroga. Ale dobrze nawet wyuczonemu nie tak łatwo pokonać było silniejszą od siebie czaplę, a walka zwykle przez długi czas była wątpliwą; aż nareszcie odwadze i zręczności siła uledz musiała, i sokół z tryumfem składał swój łup u nóg swego pana, który o życie i honor swego ulubieńca niespokojny, oczekiwał z obawą końca tej nadpowietrznej walki.

Podobne łowy miały coś rycerskiego w sobie; bo w owych czasach, w których osobiste męstwo do pierwszych cnót społeczeństwa należało, cnoty te nawet w zwierzętach ceniono i szukano ich. Obrotom walczących z sobą ptaków przypatrywał się prawy rycerz i właściciel z równym zachwytem i zadowoleniem, i tego samego niemal doznawał uczucia, jak gdyby był świadkiem boju dwóch rycerzy, walczących o honor swych dam, a sympatyą, lub znajomością więcej jednemu sprzyjając, niecierpliwie i z obawą oczekiwał rozstrzygnięcia losu i chwiejącego się zwycięstwa. Dla tych zalet lubili nasi królowie podobny rodzaj polowania; mianowicie zaś Władysław IV, który czaplę w podobnej walce żywcem wziętą, ceniąc jej męstwo, puścił na wolność z obrączką na szyi w roku 1647 dnia 18 maja, i tę powtórnie złapano w roku 1677 dnia 19 lipca, o czem wspomina król Jan Sobieski w notatkach kalendarzowych (Patrz Czackiego tom II, str. 244). Polowanie z sokołami na inne zwierzęta, np. kuropatwy, kaczki, cietrzewie, zające i t. p., jako łagodniejsze i więcej charakterowi płci pięknej odpowiadające, często się odbywało w towarzystwie dam, a że Polki lubiły rozrywki myśliwskie i często nawet na niebezpiecznych znajdywały się łowach, już gdzieindziej historycznie udowodniliśmy. Łowy z sokołami odbywały się zwykle konno, a pani, na której cześć były odprawiane, towarzyszyli rycerze, którzy zarazem w czasie polowania pełnili służbę giermków, t j. nieśli sokoła swej damy, oznaczali czas, w którym go dama dla wypuszczenia miała brać na swoją rękę, nie spuszczając go nigdy z oka, gdy ścigając zdobycz, oddalał się; nawoływaniem zachęcali go do śmielszego natarcia, lub przywoływali napowrót, zakładali mu kaptur, i nareszcie zręcznie go sadzali na ręce swojej pani. Pfeil w swojej rozprawie o łowiectwie powiada, że w owych wiekach znajomość sztuki łowieckiej, zręczność w robieniu bronią, a najbardziej zalotność dla kobiet, były jedynymi przymiotami do zasłużenia na reputacyę doskonałego szlachcica; a kto w tem wszystkiem mistrzowskiej nabył zręczności, za wzór dobrze wychowanego i „zalotnego“ człowieka był uważany, i w każdem towarzystwie płci pięknej mile był przyjmowany. Jeżeli wówczas rycerz niemiecki tyle sobie zadawał pracy i zabiegów dla pozyskania względów swej bogini, o ileż namiętność ta wyższa być musiała w Polakach, z natury żywszych, zalotniejszych i dla płci pięknej względniejszych?

Kobiety więc i zalotność wielki miały wpływ na to, że z taką starannością zajmowano się wyuczeniem sokołów, oraz, że polowania tego rodzaju zwykle się odbywały z okazałością i przepychem; bo wówczas w oczach kochanki większą miał wartość dobrze ułożony sokół, a przez niego wzdychający adonis prędzej pozyskać mógł serce swej lubej, niż dzisiejsi modnisie, podług najnowszych żurnalów francuskich ustrojeni salonowi rycerze. Polki zawsze namiętnie lubiły konną jazdę, a łowy sokołami największą nastręczały do tej rozrywki sposobność. W owych czasach nie znał wielki świat reunionów, tańcujących śniadań i t. p. zabaw; duch czasu daleko ostrzejsze wydawał przepisy dla towarzyskiego życia kobiet; młodzież obojej płci nie zbliżała się do siebie z taką poufałością, jak dziś; córki szlacheckiego rodu strzeżone były w oddzielnych, od mężczyzn oddalonych komnatach, przez matki lub matrony w wieku, znane z surowości obyczajów; jednego tylko polowania używały bez przymusu w towarzystwie młodzieży i dla tego stanowiło ono jedyną i najprzyjemniejszą dla nich w owych wiekach rozrywkę. Podobnie jak się dziś na kilka tygodni naprzód przyspasabiają dla wydania świetnego wieczoru, zabawy, kilka godzin trwać mającej, tak samo zmawiała się w owych wiekach młodzież z sobą dla odprawienia okazałych łowów; bo również potrzebowała czasu, żeby każdy stosownie do stanu i urodzenia swego z odpowiednią okazałością wystąpił. Rycerz bez ciężkiej zbroi, jedynie miecz swój przy boku mający, na dzielnym rumaku, ozdobionym bogatym rzędem, z sokołem, okrytym misternym i bogatym kapturem na ręku, otoczony był wypróbowanymi psami; tak ofiarowywał pani łowów swe usługi i te wiernie przez całe polowanie wypełniał; ona zaś lekka jak zefir, otoczona gronem rycerzy, od jej woli zawisłych, podobna do bogini łowów, unosiła się na rączym rumaku przez pola i łąki, mknąc sama za puszczonym sokołem. W tym pędzie, w tej stanowczej chwili dla walczących z sobą ptaków, zwrócone były wszystkich oczy na jej skinienia; każdy pragnął chociaż na jedno pochlebne zasłużyć słówko, lub popisać się w jej przytomności zręcznością, śmiałością i posłuszeństwem swego ptaka, a jeżeli który przewyższył innych, wówczas był pewny, że wzbudzi zazdrość w swoich towarzyszach i otworzy sobie drogę do względów, a częstokroć i serca wielowładnej swojej pani.

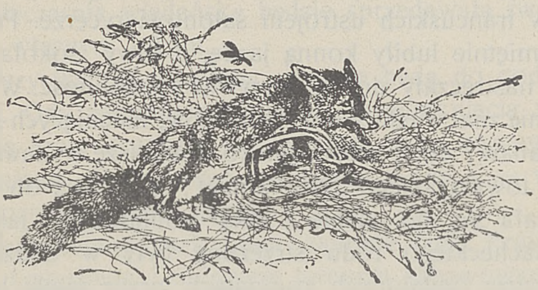
Takie były sposoby zostania godnym rycerzem i kochankiem, i zdaje się, że zalety te szlachetniejszą na sobie noszą barwę i przewyższają przymioty, dziś przez płeć piękną u „dandych“ cenione i szukane; dlatego żałować należy, że rozrywka tak szlachetna i przyjemna jest zapomniana; bo polowanie z sokołami zawsze pierwsze w myśliwstwie trzymać będzie miejsce.

Historyczne mamy dowody, jak to niżej zobaczymy (patrz Myśliwstwo ptasze — przez Mateusza Cygańskiego,

pisane w roku 1580), że do łowienia różnego ptactwa oddzielne mieliśmy orły i sokoły, które tem większą miały cenę, im większe ptactwo łowić mogły. Śmiałość, szybkość, żywość, spokojność na ręku i posłuszeństwo, były najszacowniejszymi przymiotami dobrego sokoła. Dobrze wyuczony sokół z wściekłością rzucać się musiał na okazany mu przedmiot, walczyć do upadłego, chociażby z mocniejszym od siebie nieprzyjacielem, a jeżeli go dla zbyt nierównych sił zwyciężyć nie był w stanie, w takim razie żądano od niego, żeby go na ziemię ściągał, a tak sokolnikowi podał sposobność opanowania go.

Wierny obraz odbywanych łowów na ptaki z krogulcami i sokołami, w wiekach XV i XVI daje nam „Myśliwstwo ptasze“, wydane w połowie XVI wieku, na nowo zaś przedrukowane z objaśnieniami przez Antoniego Wagę w roku 1841. Dla ciągłości opiszemy tu niektóre gatunki orłów i sokołów, u nas w owych czasach do polowania używanych, oraz — jak je układano na różne zwierzęta.

(C. d. n.)



ALBERT MNISZEK.

Nauka strzelania w Anglii.

Przeciętny Anglik traktuje zwykle polowanie jako sport. Już sama ta nazwa *shooting* (co znaczy strzelanie), która oznacza polowanie z bronią palną, gdy wyraz *hunting* (polowanie) jest tylko polowaniem konno „par force“, potwierdza to zdanie. Z hodowlą zwierzyny, która w pojęciu naszem wraz z polowaniem tworzy dopiero łowiectwo, przeciętny myśliwy angielski nie ma nic wspólnego. Dzierżawi on rewir i strzela w nim tyle, ile tylko może, by w rozkładzie rocznym lub dziennym uzyskać rekord.

Ponieważ w żadnym sporcie nie można nabyć wprawy i doskonałości bez ćwiczenia i „trainingu“, musi angielski myśliwy, a powiedzmy raczej „strzelacz“, w sporcie strzelania się ćwiczyć i trenować, jeżeli chce technikę swoją doprowadzić do doskonałości. Wybiera on do tego miesiące letnie, tak, by na jesień osiągnął już wprawę i rutynę.

Na ten cel służy kilka istniejących pod Londynem szkół strzelania, zwanych po angielsku *Metropolitan school of shooting*, a będących zwykle własnością prywatnych fabrykantów myśliwskiej broni.

Jak na każdem polu przemysłu, tak i tutaj dobitnie zarysowuje się praktyczny zmysł Anglików, wzbudzający w obcych narodach podziw.

Szkoły te były w początkach zwykłemi strzelnicami, na których rusznikarze wypróbowywali wykończoną przez siebie broń, co czynili też i kupujący. Później jednak, gdy przekonano się, że budowa łoża, jego długość, krzywizna i kąt nachylenia ku twarzy, wielką w strzelaniu grają rolę, zmieniono owe strzelnice na parki, w których stworzono nietylko urządzenia praktyczne, służące do ustalenia formy i długości łoża dla każdego strzelającego, lecz też i inne, potrzebne do nauki najróżnorodniejszego myśliwskiego strzelania, przy zastosowaniu jak najwierniejszego naśladowania lotu ptaków i biegu czworonożnej zwierzyny.

Strzelca, chcącego sobie dobrać odpowiednio dla siebie zbudowaną strzelbę, zanim poprowadzi go na „polowanie“ do parku, stawia najpierw „*gun-fitter*“ (rusznikarz) na 25 m. przed biało pomalowaną ścianą. Na niej naciągnięte są dwa druty, jeden w poziomym, drugi w pionowym kierunku. Służą one do przeprowadzenia po nich w bardzo szybkiem tempie blaszanych gołębi. Strzał do gołębia w pionowym kierunku daje świadectwo odpowiedniemu lub nieodpowiedniemu nachyleniu łoża do lub od twarzy. W ostatnim wypadku drut pionowy powinien mniej więcej przeciąć w połowie obraz śrutów. który się na białej ścianie okaże. Strzał do gołębia w kierunku poziomym wskaże znów w tensam sposób, jaka krzywizna łoża jest dla strzelca odpowiednią, w miarę tego, czy gołębia zgóruje lub zdołuje.

Nadto wypuszcza „*gun-fitter*“ z tuż przed strzelcem stojącej maszyny od czasu do czasu krążek gliniany bez jego wiedzy. Krążek ten leci od strzelca ku ścianie i w $1^1/_2$ sekundy na niej się rozbija. O celowaniu więc żadnem mowy nie ma, strzelec może dać strzał tylko z przerzutu w kierunku lecącego krążka. Chodzi tu właśnie o to, by nie miał czasu na celowanie, a z kilku w ten sposób danych strzałów oznaczyć będzie można odpowiednią dla strzelca długość łoża, gdy bowiem strzały będą szły górą, łoże będzie za długie, gdy przeciwnie dołem, będzie ono dla strzelającego za krótkie. Ponieważ łoże w próbnej strzelbie jest członkowane, uskutecznia się po każdym strzale odpowiednie poprawki, póki stosowny rezultat w strzelaniu nie będzie osiągnięty — co znów świadczyć będzie, że łoże swą krzywizną, nachyleniem i długością odpowiada indywidualnym właściwościom strzelca. Łoże takie służy wtedy jako model do zamówionej przez niego śrótówki, a on tymczasem udaje się do parku na „bezkrwawe polowanie“ na najrozmaitszą zwierzynę skrzydlatą i czworonożną, jak pardwy, kuropatwy, bażanty, zające i króliki.

Przy polowaniu na „grousy“ (pardwy szkockie) z nagonką, stoi myśliwy w budce *(butts)*, zrobionej z ziemi na otwartej, bezleśnej płaszczyźnie. Maszyny wyrzucają gliniane „grousy“, to pojedyńczo. to całemi stadami. Strzelec ma za sobą instruktora, który mu strzelby do zmiany podaje. On to udziela rad i nagany myśliwemu, a także pilnie baczy na to, by tenże w kierunku sąsiednich budek nie strzelał, uczy się więc myśliwy nietylko dobrze, ale i ostrożnie strzelać.

Łowy na kuropatwy z nagonką odbywają się też w sposób, jak najwierniej odpowiadający rzeczywistości, a więc maszyny wyrzucają z wysokich platform krążki, naśladujące kuropatwy, niewidzialnie dla myśliwego; lecą one pojedyńczo, lub stadkami na myśliwego, lub bokiem do niego, przyczem uczy się on zmieniać szybko strzelby.

Z wysokich wież wyrzucają znów krążki, naśladujące lecące w rozmaitym kierunku i wysokości bażanty.

Do wprawy w strzelaniu do królików służą gliniane kule, toczące się przez linie, w niektórych jednak parkach są i żywe te zwierzątka do dyspozycyi.

W pewnej długiej alei, wysadzanej gęstymi krzakami, wyrzucają maszyny za pociśnięciem guzika przez idącego za myśliwym instruktora, krążki, naśladujące zrywające się na buszówkę słonki.

Wreszcie w *Metropolitan School of Shooting* ma uczeń lub amator sposobność ćwiczyć się w polowaniu jakby

z wyżłem. W równinie, zarosłej krzakami, są równoległe ścieżki, któremi idą strzelcy. Przeszło 100 maszyn do wyrzucania krążków, i klatek z żywymi gołębiami, dają sposobność do ciągłego strzelania. Za każdym z myśliwych postępuje instruktor, wytykając błędy, popełniane przez ucznia, przyczem pilnie przestrzega u niego i etyki łowieckiej, nie dając mu strzelać do ptactwa, zrywającego się przed sąsiadem.

Prezes paryskiego centralnego Towarzystwa myśliwskiego, pan Edmund Béjot, opisuje swoje odwiedziny podobnej szkoły strzelania w Colnbrook Park pod Londynem. Jest nią zachwycony i oszołomiony.

„Nie będąc ani anglomanem, ani anglofobem“, mówi p. Béjot — „muszę jednak przyznać, że u naszych sąsiadów zmysł praktyczny doszedł do wysokiego stopnia doskonałości, wywołując w każdym, kto tylko zwiedzał Anglię, niekłamany podziw.

Jako stary strzelec i stary myśliwy, zdarzało mi się nieraz słyszeć o tych szkołach strzelania, gdzie naśladowcy Walsingham'ów i Grey'ów (dwóch najsłynniejszych myśliwych angielskich), drogą doświadczenia dochodzą do zdobycia sposobów, praktykowanych przez wielkich mistrzów.

Pragnąc się o tem przekonać osobiście, wsiadłem pewnego razu do pociągu i przybyłem do Londynu, gdzie udałem się na Bond-Street do znanych puszkarzy Cogswella i Harrissona. Moja karta Towarzystwa strzelania do gołębi w lasku Bulońskim i medal Towarzystwa „Fusil et Chasse“, były dla mnie prawdziwem „Sezamie, otwórz się“. Park w Colnbrook, świeżo otwarty po zamknięciu znanej szkoły Blackdone, stał się dla mnie przystępnym. W czterdzieści minut koleją żelazną przybywam na miejsce. Wkrótce staję w domu, urządzonym bardzo pierwotnie pod względem zewnętrznym, ale nadzwyczaj starannie z punktu widzenia sportowego. „Manager“ zakładu przyjmuje mnie jaknajgrzeczniej i proponuje przechadzkę.

— Mamy tu urządzone wszelkie rodzaje polowania, Czy pan chcesz przestudjować który z nich, czy też zwiedzić wszystko?

— Chciałbym nadewszystko zwiedzić, aby zdać sobie sprawę. Czy masz pan jaką broń, abym mógł z niej strzelać?

Natychmiast podano mi broń z osadą członkowaną. Wówczas „manager“ bierze pomiary mej ręki, poczem reguluje osadę. Znalazłszy niezbędną krzywiznę i odchylenie, podaje mi broń zupełnie dla mnie dostosowaną i ruszamy.

Najprzód widzimy wielki mur, rodzaj olbrzymiej tarczy. mierzącej około 25 m. długości i 5 do 6 m. wysokości. W połowie długości znajduje się w ziemi rodzaj skrytki, w której się chowa „puller“ (puszczający gołębie). Na początek dwa gipsowe gołębie wylatują ze skrytki i pędzą w dwóch przeciwnych kierunkach po drucie poziomym; oczywiście można zrobić dubleta, lub strzelać tylko jednego, stosownie do życzenia. Ptaki są pokryte czarną farbą, dzięki czemu śróciny odznaczają się łatwo na czarnem tle, odrywając kawałki gipsu. Można więc doskonale sprawdzić, o ile strzał był dokładny.

Obok, na tym samym murze, znajduje się inny system ptaków, podobnie jak i tamte — gipsowych, które, wylatując z pod ziemi, wznoszą się prosto ku górze, co daje możność studjowania strzałów pionowych.

Strzał poziomo - pionowy (skośny) jest prawdziwą szkołą dla nowicjuszów.

Ten sposób studjowania stoi pod każdym względem wyżej, aniżeli system, praktykowany we Francji przez hr. Goubeux w Ablon.

Dzięki tej ścianie, mogłem sam wyregulować swą członkowaną strzelbę, a wtedy, na propozycję „managera“ udałem się na miejsce do polowania z psem legawym, zwanego u Anglików „cover“.

Idąc małą ścieżką, posuwam się naprzód wśród krzaków, jak gdyby polując naprawdę. W pewnej odległości za mną idzie zręczny pomocnik, który pociąga ukryte druty; i w miarę, jak się posuwam, wylatują z krzaków we wszystkich kierunkach gliniane ptaki *(ball trapps)*. Czasem jest to niby spłoszona kuropatwa, która zrywa się zdaleka! to znów zrywają się na prawo i na lewo w sposób najbardziej niespodziewany, zarówno pod względem chwili zerwania się, jak i kierunku lotu. Dbałość o złudzenie jest do tego stopnia doskonała, że niekiedy wylatują dwa ptaki razem, to znów trzy, pięć lub sześć, naśladując stado kuropatw.

Cała przestrzeń „cover'u“ jest obliczona na jakie pięćdziesiąt strzałów.

Chociaż to pole strzelania jest w samej rzeczy zupełnie dla mnie nowe i nadzwyczaj interesujące, mój grzeczny „manager“ nie daje za wygraną.

Zaprowadził mnie jeszcze do rodzaju żywopłotu, dość wysokiego, i umieściwszy mnie odeń w odległości jakich 20, metrów, dał mi sposobność strzelania do ptaków glinianych lecących na mnie, jak gdyby podczas nagonki na kuropatwy. Następnie umieścił mnie pomiędzy dwoma takimi żywopłotami i znów miałem okazyę bardzo trudnego strzelania.

Ażeby urozmaicić próby, zaproponował mi strzelanie do królików. Umieścił mnie w tym celu na łączce, w odległości 20 metrów od końca żywopłotu. Wkrótce na ścieżce pojawiają się krążki asfaltowe, umiejętnie rzucone, i mające naśladować króliki; naprzód jeden, potem dwa, potem trzy.

Wówczas przechodzimy do bażantów.

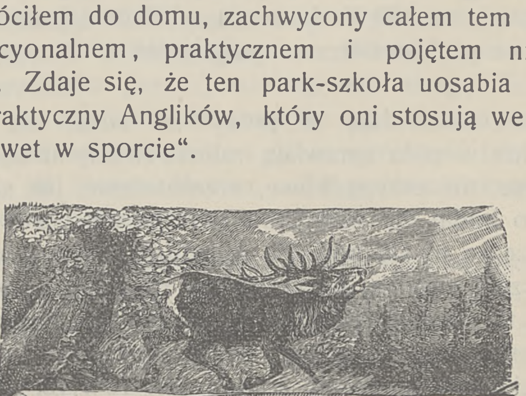
Jest tam rodzaj wieży, wysokości około 20 metrów, na której wierzchołku są ustawione maszyny do rzucania glinianych ptaków w najrozmaitszych kierunkach. Wieża ta, zbudowana pośród starych buków, daje rzeczywiście złudzenie nagonki na bażanty w wysokim lesie.

Sądziłem, że na tem będzie koniec, gdy oto zaprowadzono mnie na stanowisko, niby wycięte ze wzgórzystych okolic Szkocyi. W odległości jakich 60 metrów tarcza żelazna chroni „puller'a“. Kolejno lecą na mnie, tuż ponad ziemią, z niezwykłą szybkością najprzód jeden, a potem liczne „grousy“ (pardwy szkockie).

Ta szybkość ptaków, lecących nizko wprost na nas, pozwala studyować nowy zupełnie rodzaj strzałów, nieznany u nas zupełnie. Jest to prawdziwy „moor“ z wszystkiemi swemi niespodziankami i całym urokiem swoim.

Wystrzeliłem ogółem 150 ładunków.

Wróciłem do domu, zachwycony całem tem urządzeniem racyonalnem, praktycznem i pojętem niezwykle zmyślnie. Zdaje się, że ten park-szkoła uosabia cały ten zmysł praktyczny Anglików, który oni stosują we wszystkiem, nawet w sporcie“.



Słów parę o dalekonośnych śrutówkach.

Wielu myśliwych twierdzi, iż śrutem nie powinno i nie godzi się strzelać do zwierzyny dalej, jak na 40 do 50 kroków, i nawet stanowczo utrzymują, iż każdy dalszy strzał śrutem nigdy nie jest pewny i rzadko się udaje; w rzeczywistości jednak tak nie jest.

Wielki już dziś postęp w dziedzinie rusznikarstwa przyniósł jako jedną z wielkich zdobyczy nowoczesną fabrykację dalekonośnych śrutówek (t. zw. Weitschussflinten). Strzelba taka, solidnie wykończona, jest w ręku dobrego strzelca bajecznem narzędziem prędkiej i lekkiej śmierci dla zwierzyny, bo przecież nam myśliwym nie chodzi o to, czy zając, lis lub inne zwierzę będzie miało więcej futro zepsute, a tylko o to, aby mile dla oka w ogniu rulowało, inaczej bowiem dostrzeliwanie zwierzyny lub utrata postrzałków budzi niesmak w każdym szanującym się myśliwym

Otóż jak wyżej wspomniałem, dalekonośne śrutówki są doskonałe, a to z następujących powodów: strzał na 80 kroków jest tak pewny, jak z przeciętnej strzelby na 40 do 50 kroków. Śrutem nadzwyczaj biją one gęsto, wskutek czego nie kaleczy się zwierzyny, a zabija, albo na miejscu, albo się na czysto spudłuje. Ta ewentualność jest chyba dla myśliwego zawsze od postrzelenia milsza.

O ile jednak taka strzelba, jak wspomniałem, jest doskonałem narzędziem w ręku dobrego strzelca, o tyle w ręku nawet średniej miary myśliwego jest po prostu lichą strzelbą, bo dobrze, jak jeszcze na 10 strzałów dwa razy trafi.

Pamiętam, jak pewnego razu pewien mój kolega po lufie koniecznie prosił mię, abym mu pożyczył taką strzelbę na polowanie; nic nie pomogły moje perswazje, że z takiej strzelby nie potrafi strzelać, bo ona dla niego za gęsto bije.

Pojechaliśmy na polowanie, strzelał biedaczysko coś do 7-miu zajęcy i żadnego nie zabił; rozpacz go ogarnęła i przeklinał strzelbę, na czem świat stoi; poradziłem mu więc, ażeby w ostatnim miocie zamienił się z kim innym; i rzeczywiście, dostała się w ręce dobrego strzelca, który zaraz na przeszło 100 kroków zająca z dymem położył.

Posiadam takich strzelb trzy egzemplarze, hammerlessy, 2 dwunastki i 1 szesnastkę, a wszystkie strzelają znakomicie. Jedna 12 kal. od Novotnego, o lufach, wszystkiego 72 cm. długości, strzelała z początku całkiem jako dalekonośna przyzwoicie, tylko ponieważ zawsze pragnie się mieć jeszcze coś lepszego, więc udałem się do warsztatu firmy Dzikowskiego i pan Sartori przez stosowne podszmirglowanie luf zrobił mi z niej, że się tak wyrażę, piżonierkę na zające, bo tylko prosiłem o doskonałe ostrzelanie mi 6. Nr. śrutu; no i teraz każdy malowany zając (naturalnie i prawdziwy), na 100 kroków ma od 7 do 13 ziarnek śrutu Nr. 6, a na pięćdziesiąt — wygląda jak niebo, gwiazdami usiane.

Taki rezultat dają te próby do tarcz, ale dopiero w kniei lub w polu sprawiają radość strzały na takie mety i to pewne, nie przypadkowe, a ostatecznie, jak się pudło zdarzy, to bodaj nie wstyd, bo strzelba tak gęsto bije, że i najlepszemu to się trafi. Za to jednak jestem pewny, żem nie postrzelił zwierza, bo chociażby on tylko boczne śruty oberwał, to ich tyle razem idzie, że zabić go muszą. Drugi egzemplarz podobny, tylko z nieco dłuższemi lufami (78 cm.), doskonale ostrzelany śrutem Nr. 10 i 12, a więc na ptactwo, w próbach na strzelnicy dał doskonały rezultat, bo w prostokątnej tarczy 42 cm. × 33 cm. na 50 x było zawsze około 120 śrutów Nr. 12, a z dziesiątką próby wypadły też nie o wiele gorzej. W praktyce doskonale używam jej prawie wyłącznie na kaczki i strzelam Nrem 10. Rezultat tamtego roku miałem doskonały, bo na 6 dni polowań (kilka razy tylko pół dnia polowałem), zabiłem 107 kaczek i to przeważnie cyranek, nie licząc wiele innego wodnego ptactwa; zaledwie kilka kaczek przepadło mi w trzcinach, bo zresztą każda jak czapka spadała, a pudeł miałem także niewielki procent. Muszę dodać, że strzelam wyłącznie Wöllersdorferami 2·7 grm. prochu i 35 gramów śrutu do kal. 12.; nigdy mniej śrutu nie daję, bo po długiej praktyce doszedłem, że ten ładunek śrutu najlepsze daje krycie.

Kal. 16-tego używam tylko na ptactwo w polu i na błotach, bo lżejszy, a również doskonale strzela. Jak wyżej nadmieniłem, można strzelby w ten sposób uregulować, aby tak gęsto biły, przez odpowiednie naszmirglowanie luf — począwszy od komory, na mniej więcej 30 cm. w górę. U dwóch moich strzelb zrobił mi to p. Sartori, za co mu bardzo jestem wdzięczny, ale taka poprawka wymaga dwóch robót, bo nieraz trzeba i kilkadziesiąt razy iść ze strzelbą na strzelnicę, zanim się osiągnie rezultat. W ten sposób można poprawiać strzelby, które nie tęgo biją, ale nie zawsze się to uda, tj. czasem po poprawce strzelać gorzej nie będzie, ale też i nie o wiele lepiej. Jeszcze i tę zaletę mają te dalekonośne śrutówki, że ze strzałem nie potrzeba się zbytnio śpieszyć, bo i na dalszą metę zwierza skutecznie dosięgnąć można. *St. Br.*

Zasiadka na niedźwiedzia.



Po niezwykle łagodnej zimie tegorocznej, wystąpiły już w drugiej połowie lutego pierwsze objawy budzącej się ze snu przyrody. Nic więc dziwnego, że i niedźwiedzie opuściły w tym roku o wiele wcześniej gawrę i już z początkiem marca spotykano w górach ich ślady. W porze tej szuka zgłodniały niedźwiedź przedewszystkiem mięsnego pokarmu, nic więc łatwiejszego, jak przyjść do strzału na zasiadce przy ścierwie.

Nadzieja zapolowania na tego królewskiego zwierza uśmiechała mi się w tym roku, więc już od połowy marca oczekiwałem w napięciu telegraficznego wezwania do wy-

jazdu w góry. Nareszcie 24. marca w południe zostałem zelektryzowany radosną wiadomością, że na „Sinym potoku“ w P., niedźwiedź nadpoczął już przygotowaną mu końską padlinę.

Tej samej doby nocą byłem już w drodze. Wysiadłszy rano 25-go z wagonu, po krótkim posiłku ruszyłem fiakrem w dalszą drogę. Dzień był prześliczny, a promienie słońca zlewały tyle ciepła na martwą jeszcze przyrodę, że wszystko zdawało się do życia powracać. Sylwetka gór, rysujących się w oddali, stawała się zwolna coraz bardziej wyraźna, a im bardziej ku nim się zbliżałem, tem wyraźniejszym stawał się całun świeżego śniegu, który ostatniej nocy jakby na przybycie myśliwego ponową góry okrasił. Po półtoragodzinnym popasie koni, zacząłem wjeżdżać w dolinę rzeki Ł. Przyroda stawała się coraz piękniejsza, a krajobraz coraz bardziej zimowy, więc moja fantazja wzrastała z każdą chwilą. Wreszcie koło godz. $2^1/_2$ po południu stanąłem u celu mojej podróży. Raport gajowego opiewał, że gruby niedźwiedź przychodzi już od trzech nocy do ścierwa na „Sinym potoku“. Posiliwszy się zatem ciepłą strawą, wyruszyłem razem z moim gościnnym i łaskawym gospodarzem na miejsce zasiadki, odległe o 30 minut drogi. Zrazu szliśmy brzegiem rzeki Ł., a potem w bok na prawo krzakami od strony, którędy niedźwiedź dotychczas do ścierwa nie chadzał. Już byliśmy blisko czatowni (hochstandu), gdy spostrzegliśmy przed sobą na śniegu trop ogromnego niedźwiedzia, który widocznie ostatniej nocy zmienił swoją strategję, bo obszedłszy czatownię do koła, odszedł w inną, niż zwyczajnie stronę. Po godzinie 5-tej po południu byłem na moim posterunku i podziwiałem nadzwyczaj zmyślne urządzenie czatowni, umieszczonej między pięcioma świerkami na brzegu małej polany, tuż nad szemrzącym potokiem, w wysokości około 4 metrów nad ziemią. Dwa otwory wśród gałęzi świerkowych dozwalały doskonale na przejrzenie całej polany, na której środku, przymocowane do skarłowaciałego, lecz silnego buka, leżały nad strumieniem w odległości około 30 kroków od czatowni resztki konia w postaci głowy, szyi, nóg wnętrzności i poobgryzanych kości. Najlepsze kęski spożył już zatem „misio“ podczas ostatnich trzech nocy. Do mojej duszy wkradło się więc powątpiewanie, czy zwierz, tak nasycony, zechce przyjść jeszcze dzisiaj do tak marnych resztek. W każdym razie postanowiłem wytrwać na mojej placówce noc całą, i gdyby zwierz nawet w nocy nie przyszedł, nie opuścić jej prędzej jak o godz. 8 rano.

Już koło godz. $6^1/_2$ wieczór zaczęło się tak ściemniać, że nie można było myśleć nawet w przybliżeniu o dokładnym strzale. Moje westchnienia ulatywały więc ku księżycowi, który, spowity chmurami, nie chciał swej lśniącej tarczy odsłonić. Nareszcie koło godz. 8-ej srebrzysta jasność oblała tak ślicznie polanę, że nie można się było napatrzyć wszystkim urokom górskiego lasu w pełni księżyca. Wziąłem broń do ręki i stwierdziłem z radością, że jakkolwiek „muszki“ na lufie widzieć nie można, mimo to na tak bliską odległość, w jakiej leżało ścierwo, można na tle śniegu spodziewać się dość pewnego strzału.

Mijają długie chwile oczekiwania; napięcie uwagi maleje, a równocześnie po dwóch z rzędu nieprzespanych nocach zaczyna sen kleić powieki. Walczę, co mam siły, i natężam ile możności uwagę. Czasem podejrzany szmer elektryzuje zmysły moje, lecz gdy wsłuchuję się z uwagą, poznaję, że to tylko złudzenie, pochodzące od strumienia, który pode mną swą monotonną piosnkę nuci.

Tak mijają zwolna długie godziny, gdy raptem po stronie prawej wynurza się z gąszczu potężny niedźwiedź i elastycznym łazem sunie w odległości około 25 kroków ode mnie ku ścierwu. Chwytam trzylufek i w mgnieniu oka jestem gotów do strzału. Niedźwiedź staje na połeć i zwraca łeb w moją stronę, więc korzystam z idealnej chwili i jakkolwiek nie widzę „muszki“, ufny jednak w składność broni, mierzę w okolicę łopatki i ruszam cyngla. Razem z grzmotem strzału runęło na ziemię cielsko niedźwiedzia, a działanie pocisku było tak piorunujące, że ani śladu drgań zwierza już nie można było dopatrzyć! Zmieniwszy wystrzelony ładunek, czekałem jeszcze chwilę, czy nie ma jakiej oznaki, że życie zwierza jeszcze nie uleciało, lecz leżał on tak nieruchomy, jak gdyby już dawno był skostniał. Spojrzałem na zegarek, było 5 minut po północy! Wówczas już się nie mogłem oprzeć ciekawości przyjrzenia się zbliska mojej zdobyczy. Zlazłem więc z czatowni i zbliżałem się ostrożnie, z bronią gotową do strzału, ku niedźwiedziowi.

Leżał na polanie na prawym boku i prawej tylnej łapie, podczas gdy lewa tylna była w charakterystyczny u niedźwiedzia sposób ku tyłowi wyciągnięta, — przedniemi zaś łapami dotykał paszczy, z której sączyła się na śnieg obficie posoka. Obejmuję go wzrokiem coraz dokładniej i widzę z radością, że mi się udało zabić potężnego niedźwiedzia. Chwili tej nie zapomnę nigdy! U nóg moich wspaniały zwierz, z którego życie przed chwilą uleciało, nade mną cudowna tarcza lśniącego księżyca, a dokoła lasy i góry rozświecone i oblane jakby magicznym blaskiem. W przyrodzie był majestatyczny spokój, a wrażenie zdarzenia i wszystkiego, co mnie otaczało, tak wielkie, że stałem przez dłuższą chwilę zaczarowany i skamieniały!

Lecz czas było myśleć o powrocie na spoczynek. Ruszyłem tedy do mojej gościnnej kwatery, z postanowieniem, że rano wrócę jeszcze raz na to miejsce, by się nacieszyć widokiem mojego niedźwiedzia. Tak się też stało, i nie zapomnę nigdy tej wyprawy po niedźwiedzia o wczesnym poranku zimowym.

Dzień był cudowny, słońce sypało snopy światła złotego, a las i góry iskrzyły się niezliczonymi blaskami. Widok niedźwiedzia, rozciągniętego na polanie, przykuwał wprost do siebie. Oglądnęliśmy go teraz dokładnie. W istocie był to potężny samiec, którego długość od nosa do końca ogona wynosiła 210 ctm. Nie tyle jednak długość, co grubość zwierza zwracała na siebie uwagę, a rozmiary łba, kłów, przedewszystkiem zaś łap przednich, były wprost imponujące. Pocisk mojego Mauserowskiego trzylufka (wyrobu Dzikowskiego) ugodził w łeb powyżej lewego oka, przeszedł przez mózg i zdruzgotał podstawę czaszki w tak straszliwy sposób, że wyrwał w niej otwór wielkości pięści, a w dalszym pochodzie utkwił w kręgosłupie szyjnym, obrażając rdzeń pacierzowy. Wydostaliśmy go stamtąd w postaci odwiniętego płaszcza i większych lub mniejszych kawałków ołowiu, rozbitego na miazgę. Nic więc dziwnego, że działanie strzału było tak bardzo piorunujące. Trzeba podnieść, że trudno sobie wyobrazić broń bardziej idealną, jak 8 mm. Mauser z 2·5 gr. bezdymnego prochu i pociskiem płaszczykowym nr. 428.

Że pocisk, przeznaczony na lewą łopatkę, ugodził w łeb powyżej lewego oka, należy przypisać tej okoliczności, iż niedźwiedź w chwili strzału skierował łeb w moim kierunku, a więc na lewo, i zbliżył go do łopatki. Resztę niedokładności strzału kładę na karb niedostatecznego

oświetlenia, gdyż pomimo pełni księżyca, nie mogłem widzieć „muszki“ u lufy.

Przewóz niedźwiedzia na leśniczówkę odbył się wśród honorów, należnych takiemu królowi. Po obieleniu go, starannem zapakowaniu kudłów i po posiłku, wyruszyłem koło południa w powrotną drogę do Lwowa, unosząc nietylko niezatarte wspomnienia doznanych wrażeń, lecz także najgłębszą wdzięczność dla mojego kochanego i łaskawego gospodarza, który nietylko zgotował mi taką niezrównaną myśliwską biesiadę, ale także serdecznie w swym domu ugościł. *A. S.*

Korespondencje.

Turówka, 23. marca 1910.

Dnia 21. marca odbyło się zebranie delegatów Tow. łowieckiego pow. skałackiego w nowym komplecie, a jest nas teraz ośmiu. Przewodniczącym wybrano p. Bronisława Rozwadowskiego, zastępcą przew. hr. Ludwika Koziebrodzkiego. Podzielono powiat na ośm rejonów, składających się z ośmiu do dziesięciu gmin, i przydzielono każdy jednemu delegatowi. Ponieważ nowa ustawa łowiecka wprowadza Sądy rozjemcze, które z wejściem ustawy w życie, powinny być zorganizowane i gotowe do spełniania swojego zadania — przeto na wniosek delegata p. starosty Bocheńskiego podzielono powiat na sześć okręgów sądów rozjemczych, i zgromadzeni delegaci, w porozumieniu z prezesem Rady powiatowej, który jest także delegatem, wybrali dla każdego okręgu przewodniczącego sądu rozjemczego i jego zastępcę, i wskazali ich Starostwu do zamianowania i zaprzysiężenia. Ponieważ wszyscy ci panowie oświadczyli gotowość przyjęcia włożonego na nich urzędu, przeto możemy uważać nasze sądy rozjemcze już za zorganizowane. W okręgu I. przewodniczącym sądu rozjemczego jest p. Tadeusz Fedorowicz w Kamionce, a jego zastępcą p. Wróblewski w Bogdanówce, w okręgu II. p. hr. Ludwik Koziebrodzki i p. Józef Matecki, w okręgu III. p. Ignacy Matkowski i p. Skibiński, w okręgu IV. p. Andrzej Zbyszewski i p. Leopold Drozdowski, w okręgu V. p. Władysław Buda i p. Trębicki, w okręgu VI. p. Zygmunt Reinsperger i p. Henryk Miączyński. — Wszyscy ci panowie znani są dobrze w powiecie, a tembardziej w swoich okręgach, znają się na myśliwstwie i na gospodarstwie, a przytem nie są dzierżawcami żadnych polowań gminnych, przeto według wymogów Ustawy odpowiedni są zupełnie na sędziów rozjemczych, a dają przytem dowód obowiązkowości obywatelskiej, przyjmując te urzędy, których wykonywanie może być połączone nieraz i z trudem fizycznym i z różnemi kolizjami, wymagającemi wytrawności i taktu. Niech mi będzie wolno na tem miejscu złożyć gorącą podziękę tym panom za Ich ofiarność w imieniu wszystkich myśliwych naszego powiatu; — a jestem pewny, że w czasie urzędowania swojego zasłużą sobie również na uznanie i wdzięczność wszystkich poszkodowanych.

Niewiem, czy trafię tą drogą do celu, ale nie szkodzi spróbować. Proszę wszystkich panów Członków Tow. łowieckiego, zamieszkałych w pow. skałackim, żeby raczyli na kartach korespondencyjnych przysłać mi swoje pełne nazwiska i adresy. Potrzebaby bowiem zjechać się kiedyś — poznać bliżej i policzyć, a następnie jednać między myśliwymi nowych członków, tak, żeby każdy, kto wart nazwy myśliwego, stawał społem pod sztandarem św. Huberta. Bo tylko to silne i odporne, co zorganizowane i solidarne.

Bronisław Rozwadowski.

Lwów, 25. marca 1910.

Ponieważ dotychczas nie wyczytałem w „Łowcu“ sprawozdań dotyczących delegatów, więc podaję wyniki polowań, które mi są wiadome.

W Zwiniaczu u p. Mysłowskiego padło 31. grudnia 1909 i 31. stycznia 1910 w 10 strzelb 80 zajęcy i 1 lis. W Romaszówce u p. Rudroffa 114 zajęcy, w Byczkowcach u p. Cieleckiego w dwóch dniach 42 zajęcy. *E. S.*

Łukawica dolna, 24. marca 1910.

W Rozhurczu odbyły się polowania dnia 13. grudnia 1909 w 4 strzelby, 14. i 15. grudnia 1909 w 13 strzelb, 30. i 31. grudnia 1909 w 4 strzelby, zaś 28. lutego i 1. marca b. r. w 12 strzelb — z rezultatem następującym: 17 dzików, 3 łanie, 10 rogaczy, 47 lisów, 33 zajęcy, 4 jarząbki, 1 puhacz.

Na polowaniu w Siechowie koło Stryja, tej może najpiękniejszej w kraju dziczej kniei, w dniach 11., 12. i 13. stycznia b. r. ubito w 13 strzelb 20 dzików, 3 rogacze, 8 lisów, 23 zajęcy; zaś 10. i 11. lutego b. r. padło w 12 strzelb 5 dzików, 3 rogacze i 1 lis. Mogło było paść przy lepszem strzelaniu dwa razy tyle dzików.

W Szczurowicach koło Brodów polowało nas kilku w dniach 17. i 18. grudnia 1909 i 21., 22. i 23. lutego br. z rozkładem 8 dzików.

W Słobódce leśnej koło Kołomyi odbyło się polowanie przy udziale 12 myśliwych dnia 24. i 25. stycznia b. r., z wynikiem 5 dzików, 5 rogaczy, 5 lisów i 28 zajęcy.

Wyjątkowo w tym sezonie miałem więcej spotkań z dzikami i na powyższych polowaniach wcieliłem ich 12 do mego rozkładu, a 13-go na polowaniu zimowem w Lisowicach. *W. B.*

W Kosowie zastrzelił dnia 22. marca słonkę p. Jan Ludkiewicz.

Hawłowice dolne.

Przed rokiem zawiązaliśmy w Pruchniku Towarzystwo łowieckie „Dyana“. Mamy 10.000 morgów terenu polnego w nieprzerwanym kompleksie. W pierwszym sezonie przepolowaliśmy tylko 2500 morgów, resztę terenu zostawiając w spokoju dla zaszanowania zwierzyny. Padło 70 zajęcy i 1 kuropatwa. Straż łowiecka zastrzeliła 400 szkodników (psów, kotów, jastrzębi, srok i wron). Dla odświeżenia krwi wpuściliśmy w nasz teren 12 zajęczyc (czeskich), co czynić projektujemy corocznie. Obecnie cieszymy się nadzieją zbierania w przyszłym sezonie rezultatów racyonalnej gospodarki łowieckiej. *A. Dworski.*

Wyczytawszy w N-rze 5. „Łowca“ z dnia 5. lutego br. korespondencyę z Kołomyi, chciałbym podnieść, że Szan. Autor mógł zupełnie bez skrupułów dodać, iż w pierwszej linii należy zawdzięczać dobry stan zwierzyny w Kamionkach p. pułkownikowi Rozwadowskiemu, który hojnie wynagradza straż lasową za dozór łowiectwa, wskutek czego ta gorliwie czuwa nad tępieniem szkodników i ściganiem kłusowników, a zwierzyna dostaje regularnie karmę przez zimę, do czego tutejszy administrator p. M. znacznie się przyczynia, nie szczędząc w każdej chwili podwód do rozwożenia paszy. Z tych to powodów ta znana w Galicji knieja sarnia, powraca do dawnego stanu, mimo, że las się rąbie, a ruch w lesie, gdzie prawie we wszystkich dzia-

łach zajęci są robotnicy, wcale jednak nie płoszy ani sarn ani jeleni, bo te o kilkadziesiąt kroków od robotników swobodnie żerują, jak gdyby drwiły sobie ze stuku i hałasów.

Do rozmnożenia rodu zajęczego przyczyniły się wpuszczone w tamtym roku zajęczyce sławońskie. Wychował się ród zdrowy i silny, czego dowodem, że zające, które w styczniu padły na polowaniu, były przeważnie silnie rozwinięte, „skromne“ (tłuste) i stosunkowo dość duże.

Stanisław Winiarski.

Oświadczenie.

W 21. numerze „Łowca“ z dnia 1. listopada 1909 r. w artykule, zatytułowanym: „W imię etyki łowieckiej“, wystąpiłem przeciw różnym nadużyciom, popełnianym przez niektórych myśliwych. Artykułem tym uczuł się dotknięty p. Władysław Długosz, ponieważ uwagi moje z łatwością mogły się odnosić do jego przeszłorocznych epizodów myśliwskich. Uważam sobie za obowiązek oświadczyć w imię prawdy, że po dokładnem zbadaniu wszystkich szczegółów, przyszedłem do przekonania, że jakkolwiek uwagi moje w powyższym artykule, o ile dotyczą myśliwych, zasad etyki myśliwskiej nie uznających, w zupełności podtrzymuję, to jednak one do p. Władysława Długosza odnosić się nie mogą.

Stefan Szembek.

KRONIKA.

Premiowe strzelanie do krążków glinianych z okazji I. międzynarodowej wystawy łowieckiej w Wiedniu, odbywać się będzie w arenie wyścigowej kłusaków od 14. do 31. lipca b. r.

Program i regulamin tego strzelania podamy w swoim czasie.

Ciąg słonek wiosenny w tym roku był w niektórych miejscowościach naszego kraju wcale obfity. Najwięcej było ich w okolicach bliskich Karpatom, jak w powiatach: stryjskim, samborskim i mościskim, gdzie widziano te tak miłe sercu myśliwskiemu ptaki już po 20-tym marca. 9. kwietnia spotykano jeszcze słonki dość obficie w okolicach Lwowa. Z całego Podola, przeciwnie, mamy wiadomości o ciągu słonek bardzo niepomyślne. Prawie ich tam nie było.

Hr. Aleksander i Jerzy Wodziccy powrócili już z wyprawy myśliwskiej do Afryki. Wyprawa ta udała się znakomicie. Obfity łup myśliwski stanowią 3 lwy, 4 nosorożce, 2 hipopotamy, 1 pantera i wiele różnego gatunku antylop.



Sprawy Towarzystwa.

Posiedzenie Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego odbyło się dnia 9. kwietnia b. r. o godz. 4-tej po południu. Obecni: Prezes JE. Stanisław hr. Stadnicki, wiceprezesi: Juliusz hr. Bielski i p. Seweryn Krogulski. Członkowie: pp. Dr. Stanisław Miziewicz, Dr. Władysław Sołowij i p. Albert Mniszek.

Na posiedzeniu tem przyjęto do wiadomości oświadczenie komisji szkontrującej, zatwierdzające rachunki gal. Towarzystwa łowieckiego za rok 1909, uchwalono preliminarz na rok 1910, ustalono termin Zjazdu i premiowego strzelania. Mianowicie postanowiono zwołać *Walne Zgromadzenie gal. Towarzystwa łowieckiego na dzień 28. maja b. r. o godz. 9 rano i tegoż dnia popołudniu urządzić premiowe strzelanie.* Komitet zaś, urządzający premiowe strzelanie, powołano natychmiast do pracy.

Wreszcie omawiano sprawy udziału naszego kraju w I. międzynarodowej Wystawie łowieckiej w Wiedniu, w której otwarciu ma zamiar wziąć udział prezydjum Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego *in corpore.*

Wpisali się w poczet członków gal. Towarzystwa łowieckiego, za pośrednictwem delegatów pp.: Żurowskiego i Ożegalskiego, tudzież członków pp. Hamerskiego i Bromilskiego pp.:

Butkowski Karol
Moskwiński Kazimierz
Dr. Rutowski Klemens
Toth Dyonizy.

DROBNE OGŁOSZENIA I INSERATY.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**